

Wypasione gabinety władzy

19 kwietnia 2016

Co najmniej 80 mln zł rocznie. Tyle kosztują podatników zupełnie zbędne tzw. polityczne gabinety. Do tego trzeba doliczyć astronomiczne koszty ich partyjnych interesów.

Administracja rządowa to 19 ministerstw i Kancelaria Prezesa Rady Ministrów. Oczywiście kluczowe stołki obsadzone są przez ludzi partii rządzącej. Każda z tych instytucji zatrudnia setki wysoko opłacanych urzędników i pracowników obsługi. Po to, żeby partyjnym dygnitarzom zapewnić luksus rządzenia państwem. Na przykład w roku 2014 przeciętne wynagrodzenie miesięczne personelu KPRM (539 etatów) wyniosło 7682 zł brutto, zaś w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego (340 etatów) – 6181,50 zł. Zestawienie nie uwzględnia kilkunastotysięcznych pensji ministrów, sekretarzy i podsekretarzy stanu. Oprócz „zwykłych” pracowników ściśle kierownictwo ma też swoje gabinety polityczne. Tworzą je szef gabinetu oraz doradcy i/lub asystenci. Ich zadaniem jest „prowadzenie spraw wynikających z funkcji politycznej” patrona, czyli załatwianie jego interesów partyjnych za pensje z kasy publicznej. Rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie zasad ich wynagradzania stanowi, że powinni oni mieć wyższe wykształcenie i określony staż pracy (doświadczenie). Ale „osoby zajmujące kierownicze stanowiska państwowe” mogą „w szczególnie uzasadnionych przypadkach” zwolnić swojego człowieka z wszelkich wymagań. Ta furтка umożliwia zatrudnianie znajomych, działaczy rozmaitych przybudówek, młodzieżówki partyjnej itp. Policzyliśmy, ile to podatników kosztuje.

Wynagrodzenie dla członków gabinetu politycznego wynosi od 2880 zł do 4180 zł. To średnie stawki brutto asystenta i doradcy. Do tego dostają oni dodatek (od 5 do 20 proc.) za wysługę lat. Kasują także tzw. dodatek specjalny do 40 proc. zasadniczego wynagrodzenia. W przypadku szefa gabinetu

podstawa wynosi 6070 zł, dodatek funkcyjny z tytułu kierowania zespołem 1810 zł, plus wysługa i dodatek specjalny. Uwzględniając nagrody, okresowe premie i „trzynastkę”, asystent noszący szefowi teczkę inkasuje średnio około 6 tys. zł miesięcznie. Najmniejszy doradca od krawatów bierze 8 tys. zł, a nadzorujący ich szef ma co najmniej 12 tys. zł. Przykładowo: według stanu na dzień 31 stycznia 2016 r. wynagrodzenie miesięczne Bartłomieja Misiewicza, szefa trzyosobowego gabinetu politycznego ministra obrony narodowej Antoniego Macierewicza, wynosiło 12 001,24 zł. Spośród doradców jeden kasował 10 006,40 zł, drugi – 10 944,77 zł.

Gabinet polityczny KPRM dowodzony przez Elżbietę Witek daje pracę 10 doradcom i 9 asystentom. Tu najmłodszym pracownikiem jest 23-letni student Uniwersytetu Warszawskiego Piotr Mazurek. Starszy o dwa lata Michał Kania doświadczenie życiowe zdobył w Telewizji Republika. O Magdalenie Milczarczyk (26 l.) wiadomo tylko tyle, że była dotychczas na etacie partyjnym PiS. Bardziej znana jest Magdalena Beyer (29 l.), która dla asystentury porzuciła stanowisko radnej powiatowej PiS w Pruszkowie. Najważniejszymi z „doradców” są Rafał Bochenek i Natalia Grządziel. On zabłysnął jako konferansjer w kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy, a teraz jest konferansjerem (rzecznikiem) rządu. Pani Grządziel była jedną z „bohatek” afery z zatrudnianiem asystentów europosłów PiS. W centrali partii pełniła m.in. niesłychanie ważną funkcję makijażystki prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Obecnie umawia spotkania premier Beaty Szydło. Być może robi jej też makijaż albo maluje paznokcie.

Czteroosobowym gabinetem politycznym wicepremiera i ministra kultury Piotra Glińskiego kieruje Agnieszka Tymieńska, dotychczasowa pracownica PiS-owskiej spółki „Srebrna”. Z tego samego gniazda wyszedł Mateusz Adamkowski. Katarzyna Skorupińska-Rusiecka, żona byłego dyrektora kościelnego Radia Plus, była wcześniej szeregową pracownicą Urzędu Dzielnicy Wilanów. W przypadku Anny Lutek, rzeczniczki prasowej MKiDN,

Gliński zapewnia, że jedynym źródłem jej dochodów w trzyletnim okresie poprzedzającym dzień, w którym została przezeń zatrudniona (7 stycznia 2016 r.), było Polskie Radio SA. Nie wiemy, dlaczego wicepremier mija się z prawdą, bo przecież jeszcze w 2014 roku pani Anna miała też dietę radnej PiS w dzielnicy Śródmieście i dorabiała do pensji wynajmem mieszkania.

Na liście płac gabinetu ministra spraw zagranicznych Witolda Waszczykowskiego są cztery osoby. Najładniejsza spośród nich jest doradca Sylwia Ługowska-Bulak, która w 2011 roku była jednym z „aniołków Kaczyńskiego”. Później prowadziła Waszczykowskiemu biuro poselskie. Szefem gabinetu jest zdecydowanie mniej ładny Jan Parys, niegdyś minister obrony w rządzie Jana Olszewskiego. Powrócił do politycznego karmnika po procesie karnym w sprawie wyrządzenia znacznej szkody fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie. Chodziło o przyznawanie sobie gigantycznych premii kwartalnych. W pierwszej instancji dostał za to półtora roku więzienia w zawieszeniu, w drugiej – został uniewinniony. Ale w procesie cywilnym sąd nakazał mu zwrot prawie 130 tys. zł (wraz z odsetkami) pieniędzy nienależnie pobranych z kasy fundacji. Dzięki koledze Parys trochę się odkuje. Prokuratorowi, który żądał dlań aż dwóch lat, nie wróżymy oszałamiającej kariery u „pana Zbyszka”.

Ziobro ma w swoim gabinecie czterech młodzieńców w wieku od 25 do 27 lat. Jeden pracował u niego, gdy był posłem do Parlamentu Europejskiego. Drugi zarabiał w biurze poselskim Przemysława Wiplera. Trzeci jeszcze się uczy na Uniwersytecie Jagiellońskim. Czwartym i najbardziej rozpoznawalnym jest magister prawa Sebastian Kaleta, do niedawna felietonista „Wprost”. Teraz jest rzecznikiem Ziobry. To już druga osoba związana z tygodnikiem, która dostała posadę rządową. Były zastępca redaktora naczelnego Bartosz Marczuk został bowiem wiceministrem rodziny, pracy i polityki społecznej. Po „warszawce” krążą pogłoski, że nagród za nagłaśnianie pewnych afer za rządów PO będzie jeszcze więcej...

W innych instytucjach rządowych jest podobnie. Na przykład minister energii Krzysztof Tchórzewski dał posadę szefa urzędnikowi z rodzimych Siedlec. W gabinecie ma jeszcze dwóch doradców i dwóch asystentów. Paweł Szałamacha (finanse) oprócz szefa Łukasza Kudlickiego, dotychczasowego pracownika PiS, ma czterech asystentów. I do tego sześciu podsekretarzy stanu. U wicepremiera Jarosława Gowina (kultura i dziedzictwo) jest szef, dwóch doradców oraz asystent. Elżbietę Rafalską (praca i polityka społeczna) obsługuje pięciu działaczy; Krzysztof Jurgiel (rolnictwo) zarezerwował swoim siedem etatów, a Konstanty Radziwiłł (zdrowie) – pięć. Radiomaryjny Jan Szyszko (środowisko) chlubi się jednym szefem, sześcioma doradcami i asystentem. O jeden etat przebija go wicepremier Mateusz Morawiecki (minister od rozwoju). Gabinet Anny Zalewskiej (edukacja) składa się z pięciu osób. I tak dalej...

Licząc tylko honoraria personelu, średni łączny koszt zatrudnienia w gabinecie przekracza 700 tys. zł rocznie. Na przykład w MON – w całym roku 2015 – wyniósł 750,7 tys., KPRM wydało 747,3 tys. zł, a Ministerstwo Rodziny – 600,7 tys. zł. Do tego samochody, telefony, delegacje krajowe i zagraniczne, reprezentacja, mieszkania służbowe itp. Sumując wszystkie składniki, wyjdzie minimum 20 mln zł. Ale to przecież nie wszystko, można by nawet rzec – drobiazg. Okazuje się bowiem, że „gabinety polityczne” można też tworzyć na szczeblu samorządowym. A skoro tak, to każdy prezydent, burmistrz, marszałek, starosta, a niekiedy nawet wójt, zatrudnia ekipę osobistych doradców i asystentów. Nie wiadomo dokładnie, ile to podatników kosztuje. Według obliczeń Ministerstwa Administracji w roku 2011 samorządowcy wydali na swoje „gabinety” prawie 40 mln zł. Z naszych informacji wynika, że obecnie ta kwota sięga 60 mln zł. Czyli razem z gabinetami rządowymi mamy około 80 mln zł.

„Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom społecznym dotyczącym oszczędności w wydatkowaniu środków publicznych z budżetu państwa”, podkomendni Jarosława Kaczyńskiego złożyli w 2012

roku projekt ustawy likwidującej etaty dla znajomków polityków rządzącej wówczas ekipy PO-PSL. „W powszechnym odbiorze gabinety polityczne, szczególnie te powoływane przy organach samorządu terytorialnego, stanowią zbędny element funkcjonowania, zarówno ministerstw, jak i samorządu terytorialnego. W obliczu pogłębiającego się kryzysu finansowego, zatrudnianie kilkunastu tysięcy pracowników politycznych, bardzo różnie dobieranych również z punktu widzenia ich przygotowania merytorycznego, nie znajduje żadnego uzasadnienia” – grzmiał prezes. „Uważamy, że należy skasować wszystkie stanowiska w gabinetach politycznych” – wtórował pryncypałowi Mariusz Błaszczak.

W ramach „dobrej zmiany” Kaczyński i jego kamaryla radykalnie zmienili zdanie o gabinetach. Powód zdradził nieopatrznie prezydent Andrzej Duda, nucąc podczas spotkania z mieszkańcami Otwocka. To wtedy z piersi wyrwały mu się szczere – choć wypowiedziane pod cudzym adresem – słowa: „Ojczyznę dojną racz nam wrócić, Panie”...

Autorstwo: Marcin Kos

Źródło: FaktyiMity.pl